

Beśka / Syrwid / Onichimowski / Koziarski  
Plebanek / Ziętek / Turnau / Kornaga

# Piątek, 2:45



FILAR

KRZYSZTOF BEŚKA  
ZANDKA

MARTA SYRWID  
12 GODZIN Z ŻYCIA KALINY GRYZANEJ

FILIP ONICHIMOWSKI  
TO NIE JEST KRAJ DLA BIAŁYCH LUDZI

DANIEL KOZIARSKI  
SUKA

GRAŻYNA PLEBANEK  
W STRONĘ ZOŚKI

PAWEŁ ZIĘTEK  
PÓŁ TWARZY W BŁĘKICIE, PÓŁ W UŚMIECHU

ANTONINA TURNAU  
ZNIKNIĘCIE WŁADYSŁAWA BLUMA

DAWID KORNAGA  
STAMBUŁ

**Piątek, 2:45.** Właściwie już sobota. Ale to, co zakończone, trwa nadal; to, co się kończy, dopiero się zaczyna. Choć większość śpi, nie śpią ci, którzy nie chcą lub nie mogą, albo coś im spać nie pozwala. Ponieważ o tej porze sporo się dzieje – jak kraj długi i szeroki.

Opowiadają o tym sugestywnie młodzi, zdolni autorzy, każdy w swoim niepowtarzalnym stylu. Warto wejść w głębię nocy i poznać te zajmujące historie, gdzie realizm miesza się z fantazją, powaga z groteską, a humor z dramatem. W piątek o 2:45 czas zwalnia, by nagle przyspieszyć, a sprawy duże i małe nabierają nowych znaczeń w życiu bohaterów antologii.

Dzięki temu **Piątek, 2:45** to solidna porcja rozrywki, jak i refleksji, doprawiona zróżnicowaną narracją i wciągającą fabułą.

PATRONAT MEDIALNY

**merlin.pl**

 **granice.pl**  
portal literacki

**BLUSZCZ**  
KONFERENCJA LITERACKA



Piątek, 2:45

Krzysztof Beška, Dawid Kornaga, Daniel Koziarski,  
Filip Onichimowski, Grażyna Plebanek,  
Marta Syrwid, Antonina Turnau, Paweł Ziętek

Copyright © by Wydawnictwo FILAR, Warszawa 2010

Redakcja i korekta:  
Ewa Koperska

Projekt graficzny i wykonanie okładki:  
Justyna Kabala

Skład i łamanie:  
Agencja Reklamowa ZEPPELIN  
[www.zepelin-adv.pl](http://www.zepelin-adv.pl)

ISBN: 978-83-61995-20-3

Wydawnictwo FILAR  
01-217 Warszawa, ul. Kolejowa 11/13  
tel. (22) 632 62 49, fax (22) 632 43 87  
e-mail: [wydawnictwo@filar-books.eu](mailto:wydawnictwo@filar-books.eu)

## SPIS TREŚCI

ZANDKA .....	7
12 GODZIN Z ŻYCIA KAMILI GRYZANEJ .....	32
TO NIE JEST KRAJ DLA BIAŁYCH LUDZI .....	53
SUKA .....	85
W STRONĘ ZOŚKI .....	120
PÓŁ TWARZY W BŁĘKICIE, PÓŁ W UŚMIECHU .....	130
ZNIKNIĘCIE WŁADYSŁAWA BLUMA .....	157
STAMBUŁ .....	187

# Piątek, 2:45

FILAR

WARSZAWA 2010

## ZANDKA

– Opóźniony pociąg ekspresowy z Warszawy Wschodniej do Katowic wjeżdża na tor trzeci przy peronie drugim – metaliczny kobiecy głos z dworcowych megafonów złął się w jedno z piskiem hamulców zatrzymującego się właśnie składu.

Ledwo wagony stanęły z przejmującym jękiem, zaczęły otwierać się drzwi. Wsiadający z opóźnionego ekspresu pasażerowie pokonywali drogę ku wyjściu szybkim krokiem, jakby chcieli strząsnąć z siebie złość i zmęczenie wydłużoną wbrew ich woli podróżą. Jakby to jeszcze mogło cokolwiek zmienić, naprawić wyrządzone szkody, zmniejszyć wielkość opóźnienia... Kilkoro zniecierpliwionych, oczekujących na przyjazd pociągu, odbierało właśnie nagrodę w postaci widoku wytęsknionej osoby, uścisku, pocałunku, pierwszych słów. Obie wskazówki wszystkich działających dworcowych zegarów, mała i wielka, zbliżały się do siebie. I do dwunastki.

– Tu stacja Zabrze. Tu stacja Zabrze. Opóźniony pociąg ekspresowy z Warszawy Wschodniej do Katowic odjeżdża z toru trzeciego przy peronie drugim...

Ostatni pasażer zatrzasnął za sobą drzwi wagonu. Rozległ się przeciągły gwizd, chwilę potem charakterystyczny szum konduktorskiej krótkofalówki. Ktoś coś krzyknął i skład ruszył, tym razem niemal bezszelestnie.

Kilkanaście sekund później, maszerującego bardzo powoli, z opuszczoną głową i w pojedynkę mężczyznę, minął ostatni wagon. Przez krótką chwilę oświeciła go para czerwonych, przykurzonych świateł końca pociągu; w tym samym momencie idący podniósł wzrok. Przez jego twarz przebiegł uśmiech, a może był to tylko grymas.

Ów pasażer nie miał ze sobą żadnego bagażu. Wciąż tym samym, wolnym krokiem zbliżył się do drewnianej ławeczki, stojącej na środku pustego już peronu. Usiadł ciężko, wsunął obie ręce do kieszeni jesionki. Odchylił do tyłu głowę i, jakby siedział na brzegu ciepłego morza, a nie na zimnym, brudnym dworcu, w dodatku w środku nocy, przymknął oczy...

\*

Ciemność.

Ktoś znów wykręcił żarówkę na korytarzu. Szpasownik pierdolony!

To już trzecia będzie w tym miesiącu – Modry sprawnie rachuje w myślach, jednocześnie jak najciszej zamykając za sobą drzwi mieszkania. Cichy zgrzyt puszczonej klamki.

Po chwili staje na krawędzi schodów, jakby gotował się do skoku, wyciąga ramiona – najpierw daleko w bok, potem przed siebie. Będzie tego dziewięć schodów – kolejna liczba. Ważna. Dzięki niej nie musi zapalać światła w domu. Mógłby tym obudzić śpiących. Matka by tylko buczała, więc po co? A ojciec...

Krok do przodu. Pierwszy drewniany stopień skrzypi drażniąco. Po chwili palce prawej dłoni trafiają bezbłędnie na chropowatą powierzchnię ściany, lewej zaś na wyslizganą od zjeżdżania poręcz; całość jest nieźle rozchybotana, więc



nie można jej ufać za bardzo. Już czuć wypierający zapach starości smród piwnicznej stęchlizny i gnijących ziemniaków, z którego aż nazbyt wyraźnie przebija kocia szczyna.

Idący wstrzymuje oddech, przyspiesza. Jeszcze trzy stopnie, jeszcze dwa. Ostatni już nie zaskrzypi, bo chłopak niecierpliwie go omija, lądując lekko tuż przed drzwiami kamienicy. Pcha je oburącz, choć ostrożnie. Światło sodowej latarni wspina się bladym promieniem po schodach. Rozejrzawszy się uważnie, Modry wychodzi na ulicę. Powoli wsuwa rękę do kieszeni.

Nad Zandką, starym śląskim osiedlem, zwanym Małym Zabrzem, a także, nie bez złośliwości, a i nie bez racji, dzielnicą... nisko latających siekier i noży, od wielu godzin króluje już noc. Ktoś, ten sam złośliwiec, powiedziała, że nie od kilku godzin, a dziesięcioleci.

Zaśmiło się nie wiadomo kiedy, jak to jesienią. Mrok przyciągnął ze sobą zapach opadłych liści i zimy. Tak, to zima. Modry czuje wyraźnie oddech tej nadchodzącej nieuchronnie, najmniej lubianej przez siebie pory roku. Stawia kołnierz starej, skórzanej kurtki, jeszcze głębiej chowa dłonie w kieszeniach spranych i poprzecieranych tu i ówdzie dżinsów. Rano, po wszystkim, na pewno będą znów do prania, a i dziury przez to się powiększą.

– Rano – mówi cicho sam do siebie, może żeby lepiej zrozumieć.

W głowie Modrego słowo to brzmi bowiem jakoś dziwnie. Obiecuje, ale i niesie jakiś niepokój. Tak swojskie, a jednak czemuś obce...

Oddaliwszy się już nieco od domu, Modry jeszcze raz, odruchowo ogląda się przez ramię. W żadnym z okien dwupiętrowego, stuletniego familoka, jednego z czter-

dziestu podobnych, wybudowanych przed wiekiem dla pracowników huty Donnersmarcka, co to je mają ogłosić zabytkami, ba!, nawet odnowić, nie pali się już światło. Nie widać nawet refleksów z telewizorów, choć to dopiero parę minut po północy, a jutro ludzie mają fajrant.

Chłopak spogląda na zegarek w nikłym świetle latarni – drugiej i ostatniej z działających w promieniu kilkudziesięciu kroków. Jest dokładnie pięć minut po dwunastej. Jeszcze sporo czasu do... Tak, właśnie skończył się piątek, a zaczęła sobota, ale, mimo że gdzieś tam, obok malowanych soczystozieloną farbą ościeży, okrągłe kilka anten telewizji satelitarnej (bo się niektórym nieco polepszyło, a wtedy hulaj dusza!), ludzie śpią. Albo tylko udają sen.

– Jeszcze sporo czasu – Modry powtarza znów na głos; przez ułamek sekundy wyrzuca jeszcze sobie, że tak wcześniej wyszedł z mieszkania, ale równie szybko odwraca wzrok, jakby znudzony zbyt boleśnie znajomym landszafem, spluwa pod nogi i opuszcza podwórko.

Modry ma dwadzieścia jeden lat i naprawdę na imię Adam. Przyszedł na świat pod koniec pamiętnej zimy, zwanej zimą stulecia. Pięć, sześć lat temu wyobrażał sobie, że kiedy osiągnie ten słuszny przecież wiek, będzie miał już dziołchę, a może nawet bajtla. Robotę jakąś, niekoniecznie w wyuczonym zawodzie technika elektryka, przynajmniej jeden ancug w szafie i ką, choćby wynajęty od dobrych ludzi.

Ale życie nigdy nie toczy się tak, jakbyśmy chcieli, żeby się toczyło.

Chłopak, mimo że niegłupi, co zgodnie powtarzali jego nauczyciele, nie dostał się na studia. Rok był w wojsku,

nad samym morzem. Potem pośredniak, jakieś dorywcze harce na drabinie, a od paru lat – to już w ogóle, szkoda gadać. Był pomysł, żeby jechać, jak inni, do Reichu, ale na pomysłe się skończyło. A mówią na niego Modry, bo włosy ma rude. Nie jakoś specjalnie drażniące, że mógłby robić za światło stopu na skrzyżowaniu, ale jednak rude. I kiedyś, dawno, bo jeszcze w szkole podstawowej, podczas jakiejś dyskoteki, padło na głowę Adama niebieskie światło z kolorofonu, nadając jej barwę gotowanej czerwonej kapusty.

Modry idzie ulicą Krakusa. Z naprzeciwiaka, wąskim chodnikiem kuśtyka pokracznie jakaś postać bez twarzy, zgięta pod ciężarem worka. To nocny zbieracz. Pełno ich na Zandce. Zatrzymuje się od czasu do czasu, pochyła nad koszami na śmieci. Kiedy coś odnajduje, zrzuca ciężar z pleców. Wprawne zgniecenie puszki po piwie jednym uderzeniem stopy, boki poprawia się palcami lub obcasem i już zdobycz leci do plastikowego worka.

Rusza dalej. Znaleziona przy następnym familoku cała butelka po piwie wprowadza do tej orkiestry świeże tchnienie, a i pewnie poprawia humor zbieracza.

Oby nie skończyć jak tamten – przebiega w głowie Modrego myśl trwożna. A niewiele brakuje! Właściwie to gnój już ust sięga...

– Oj, ty-ci-tyci – mówi sam do siebie, jak ten starzyk przed familokiem.

Bo zachciało im się nowego kompletu wypoczynkowego. Znaczy ojcu i matce Modrego. Sofa, dwa fotele. Wiekie mi halo! Ale że z samych pensji ledwo starczało na życie, wzięli kredyt. Do końca spłaty pozostało jeszcze parę miesięcy, kiedy matka straciła robotę. Zaczęli zalegać ze spłatą

rat, no to wzięli drugą krechę. Potem trzecią. Raty zaczęły gonić się nawzajem jak te koty po dachu. A dług rósł.

Kiedy w żadnym banku nie chcieli już z nimi gadać, Modry znalazł w gazecie reklamę szybkich kredytów. Pani, która przyszła do ich domu, najpierw krytycznie rozejrzała się po mieszkaniu, jakby przyszła je kupować. Jak się potem domyślili, oceniała, co z ich majątku nadaje się do późniejszego szybkiego spieniężenia. Potem dopiero łaskawie zajęła miejsce na tej niespłaconej jeszcze sofie, wypociła kawę, wreszcie położyła na stole plik banknotów.

Nie minął tydzień, jak pod ich familokiem zaczęły kręcić się jakieś podejrzone typy, w okna zaglądać, a nawet i sąsiadów wypytywać. Kiedy nadszedł termin spłaty pierwszej raty, a Modry nie miał w kieszeni nawet dziesięciu złotych, do mieszkania wparowało, podając się przez drzwi za pracowników gazowni, dwóch takich smutnych.

– Połamiemy ci rękę, dziadu! – zagroził jeden z nich i dał termin za dwa dni.

Za dwa dni ojciec miał rękę całą, ale serce mu się zatrzymało. Zawał. Leży teraz w szpitalu. Na razie lekarze nic nie chcą mówić...

Nocny zbieracz złomu znika za rogiem. Ktoś na piętrze zamyka okno z trzaskiem, zdjąwszy z parapetu zapomnianą poduszkę w powłoczce z długimi frędzlami. W podwórzu krótko wyje głodny pies. Modry przyspiesza kroku.

Lubi się zmęczyć, biec do utraty tchu. Jeszcze nie obawia się chwili, w której poranne wstawanie z łóżka i wyprostowanie grzbietu będzie kosztować wiele sił i bólu. I kiedy będzie musiał co chwila przystawać na ulicy, ażeby złapać oddech lub dać odpocząć sercu. Albo gdy nie

będzie już mógł stanąć na wysokości zadania przy okazji obcowania z kobietą...

No właśnie, z kobietą. Na rogu Stalmacha i Cmentarnej Modry znów się zatrzymuje.

To tutaj, przed dwoma dniami, ostatni raz widział się z Anką, swoją dziewczyną. Przeszli tu z niedalekiego starego cmentarza żydowskiego. Wiele razy spotykali się w tym miejscu, które bardziej przypominało park czy ogród niż miejsce wiecznego spoczynku. Z ziemi wyrastały krzywo nieliczne macewy, o których ktoś powiedział, że przypominają mu kostki domina. Wszystko, włącznie z pniami drzew, równo porastało zielsko. Promienie jesiennego słońca, filtrowane przez gęste gałęzie drzew, zawsze tworzyły niesamowity klimat.

Jeszcze jako szczeniak Modry często biegał tam z kolegami. Zdarzało się, że jeden z drugim, nasłuchawszy się w domu lub na podwórku opowieści o Żydach, których ponoć chowali ubranych w złoto, przynosił ze sobą szpadel i zaczynał kopać. Za każdym razem jednak ochota na ukryte skarby szybko przechodziła. I nie powodował tego głuchy odgłos uderzenia metalu o spróchniałe wieko trumny...

Anna, Ania. Długo znali się tylko z widzenia, ale tak naprawdę poznali dopiero dwa lata temu, na koncercie Dżemu w Tychach. Po raz pierwszy śpiewał wtedy Maciek Balcar, jak się miało szybko okazać – godny następcą zmarłego kilka lat wcześniej Ryśka Riedla:

– *W życiu piękne są tylko chwile...*

Te chwile właśnie miały nadejść w życiu Modrego. Bo od razu wpadli sobie w oko z Anką. Tak, zawsze będzie ją taką pamiętał: długowłosą, z rzemykami na przegubach rąk, płaszącą w rytm nieśmiertelnych przebojów bluesowej

kapeli. Jeszcze kilka takich koncertów zaliczyli tamtego lata, ale ich uczucie przetrwało dłużej. Zaczęli się spotykać, tak na poważnie. Przetrwali nawet ten rok spędzony przez Modrego w wojsku. Mieli wspólne plany.

Ale przedwczoraj Anka była jakaś dziwna. Wyczuł to od razu. Na jego pytania odpowiadała półsłówkami, nie śmiała się z opowiadanych kawałów, była rozkojarzona, nieobecna, unikała wzroku chłopaka, nie mówiąc już o całowaniu, tyle co na dzień dobry i do widzenia – tu, pod tablicą z nazwą ulicy. Mieli się zdzwonić jutro rano. Tak. Znów to rano...

Modry wzdyga się. Na skrzyżowaniu zatrzymuje się radiowóz. Ze środka wychodzi mężczyzna. Modry od razu go rozpoznaje. To sierżant Respondek. Widać skończył służbę, bo jest bez munduru. Mógł się przebrać w domu, ale po co kusić los? On już teraz swój! Coś jeszcze mówi do kolegów w radiowozie. Po chwili pojazd rusza, poskrzypując na nierównościach zużytymi wahaczami, Respondek zaś znika w bramie swojego domu.

Jest w porządku – ocenia w myślach chłopak. Inny by już dawno...

Bo Modry ma wyrok. Najprawdziwszy, nie w żadnych zawiasach. Dwa lata do odsiedzenia pod celą, jak jakiś zbir ze sprężyną w cholewie, czający się za rogiem.

A wszystko przez to, że cztery miesiące temu, gdzieś w połowie maja, pożyczył od kolegi rower górski na sobotnią wycieczkę. Dwadzieścia jeden biegów, nówka prawie! Wcześniej, dla przypieczętowania interesu, wypili po kilka piw. Było koło szóstej po południu, gdy Modry wysiadł z autobusu z góralem pod pachą. Do domu miał jakieś pięćset metrów, a że nie chciało mu się iść, przełożył nogę przez ramę i nie siadając

nawet na siodełku, jakby to cokolwiek miało znaczyć czy pomóc, nacisnął na pedały.

Pech chciał, że stali za rogiem. Modry zatrzymał się, nie przeczuwając kłopotów.

– Zsiadaj z roweru – polecił nieznajomy sierżant.

Modry wykonał polecenie. Policjant sięgnął po jakieś ustrojstwo z białą, plastikową rurką.

– Dmuchaj.

Pechowy rowerzysta dmuchnął ze wszystkich sił, omal bąka przy tym nie puścił. I cwana maszynka wykazała zbyt wiele promili, niż dopuszczwały to oficjalne normy. Sierżant nie krył satysfakcji, nawet się koledze chwalił, a Modremu dał tę plastikową rurkę.

– Na pamiętkę – rzekł z krzywym uśmiechem.

Modry próbował coś tłumaczyć, szybko jednak słowa przeszły w bełkot, ręce, co chwilę wcześniej gestykulowały, opadły bezwładnie wzdłuż tułowia, a on pojął, że to nie ma sensu. Że wpadł jak gówno do klozetu, z głośnym plum. Czuł się jak brudna ścierka. Nikt go im nie nadał, po prostu – czysty przypadek.

Policjanci coś gadali, spisali dane z dowodu osobistego, wreszcie podsunęli do podpisania jakiś świstek, który Modry bez wahania podpisał. Potem puścili. Szedł z tym rowerem jak jakiś dzieciak, który boi się jechać. Stracił też zupełnie ochotę na tę sobotnią rowerową eskapadę za miasto.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Mimo że lekko-  
duchem nigdy nie był, a raczej zawsze martwił się na zapas, teraz najzwyczajniej w świecie zapomniał o całej sprawie. Może dlatego, że wiele się działo w życiu Modrego w tamtym czasie. Same zmiany!

Właśnie przeprowadzali się całą rodziną do mieszkania po ciotce Uli, która zmarła pół roku wcześniej. Raptem dwie ulice dalej, ale zawsze większe o jedną izbę, jaśniejsze, po prostu lepsze mieszkanie, no i, najważniejsze, na pierwszym piętrze, co przy wieku rodziców nie było bez znaczenia. Wezwania do zapłaty zasądzonej grzywny przychodziły więc na stary adres – to raz. W dodatku Modry, oszołomiony w chwili zatrzymania, podpisał jakiś kwit, z którego – jak się potem okazało – wynikało, że zrzeka się prawa jazdy.

Problem w tym, że Modry prawa jazdy... nigdy nie miał.

Te dwa fakty wystarczyły sędzi, żeby uznać Adama za wroga publicznego najgorszego sortu i wsadzić go za kratki. Może dla przykładu dla innych, co się wałęsają po okolicy, może za sam adres zamieszkania, kto wie. Modry, doprowadzony przed oblicze, wysłuchał wyroku, ale i tak jakby to do niego nie dochodziło. Jakby tylko film jakiś oglądał.

Dziś, a raczej wczoraj, Respondek przymknął oko. Jutro, a raczej już dziś, pewnie tego nie zrobi i przyjadą po Modrego jeszcze raz. Może nie założą kajdanek, nie zrobią widowiska dla sąsiadów. Ale to już nie będzie wtedy ważne.

Ważne jest to, co ma się stać za kilkadziesiąt minut. O drugiej czterdzieści pięć.

Ulicę przecina spłoszony kocur. Modry zastygł z uniesioną prawą nogą, niczym w filmowej stop-klatce. Nie wiadomo, czy zwierz jest czarny, gdyż akurat w tym miejscu ktoś poślakomiał się na żarówkę latarni ulicznej, która nie wiadomo do czego ma mu się przydać. Z otwartego okna na parterze najbliższego budynku dobiega syg-



nał ostatnich wiadomości. Poszczękują sztuce, dzwoni szkło, gdzieś dalej gwizdzą czajnik. Ludzie jednak nie śpią. Żyją. Mimo wszystko.

Modry przyspiesza kroku. W ciągu minuty dochodzi do placu z przystankiem autobusowym pośrodku. Na krzywej ławeczce siedzi para młodych ludzi. Zakochani. Po chwili podjeżdża autobus. Ostatni kurs tego dnia. Dziewczyna wsiada do środka, chłopak zostaje na przystanku. Ona długo macha mu z okna. Kiedy stary jelec znika za zakrętem, z twarzy chłopaka schodzi też błogi uśmiech.

W tej samej chwili w ciemności rozlega się rowerowy dzwonek; z przeciwnej strony nadjeżdża stara, skrzypiąca ukraińska. Rowerzysta zeskakuje w biegu.

– Zimno, nie? – wita się.

Stoją teraz we trzech na środku niewielkiego placu z przystankiem autobusowym. Są w komplecie. Zakochany Ecik, Richard-cyklista i Modry. Milczą, bo i słów już nie trzeba.

– Dzwoniłeś? – pyta Richarda Modry, ten zaś potwierdza skinieniem głowy.

– Za piętnaście trzecia, jak było powiedziane – dorzuca Ecik z przejęciem, a Modry spogląda na zegarek.

Ruszają pnąc się do góry uliczką między szpalerem wychudłych topoli, gubiących właśnie poczerwiałe liście. Milczą przez dobrych kilka chwil.

Pierwszy nie wytrzymuje chłopak, który przed chwilą pożegnał się z dziewczyną i najwyraźniej już zaczęło brakować mu rozmowy.

– Oddadzą koparkę? – zapytuje niegłośnie, jakby z obawą, że usłyszy ktoś niepowołany.

– Gównu ci oddadzą – odparowuje mu ze złością prowadzący rower Richard i spluwa na bok. – Na hasiok wyrzuć, na żyłetki potną albo na przetarg oddadzą.

– Najbardziej mnie piekli, że tylko nam policja wzięła, a ci od Myszkki dalej robią swoje – rzeczce Ecik po chwili.

– Może posmarował Myszka? – zastanawia się głośno rowerzysta, wzruszając przy tym chudymi ramionami.

– Ma zbyt na węgiel, ma kasę, żeby posmarować gdzie trzeba, w urzędzie, na policji...

– Jeszcze tylko brakuje, żeby my się z Edwinem Myszką zetli!

– Łopatą pójdiesz fedrować, jak trzeba będzie – odzywa się mocnym, choć ściszone głośnie milczący dotąd Modry; jest najwyższy spośród trzech idących i najstarszy. Nie patrzy na kolegów, prze do przodu, z rękami wciąż ukrytymi głęboko w kieszeniach spodni.

– Na sześć metrów przecież bez koparka nie dojdę! Góra dwa, trzy... – oblicza w myślach Ecik, patrząc z uwagą pod nogi.

Znów milkną. Maszerują równym, szybkim krokiem, posapują też miarowo, któryś tam nawet zaczyna pogwizdywać z cicha, ale melodia szybko się urywa.

A dzikie wyrobiska na Zandce były zawsze! W niewielkim lasku, gdzie ziemia była kiedyś płaska, teraz się pozapadała i drzewa rosną tu jak w jakimś horrorze – nie tylko pionowo, ale i ukośnie. Węgiel wykopany z biedaszybów szedł do pieców mieszkańców osiedla, ale też można go było kupić niedrogo. Był czas, kiedy ustawiały się tu kolejki samochodów. Fedrowało się niemal bez przerwy, dzień czy noc, na zmiany, tak że w ciągu doby można było wydobyć na powierzchnię nawet i ze dwie i pół tony dob-

rego, czystego węgla. Policja wtrącała się dopiero wtedy, gdy w którymś z biedaszybów dochodziło do śmiertelnego wypadku.

– Jak myślicie, stary Słota wyżyje? – milczenie przerywa tym razem Richard.

– Ciężko będzie. Przeleżał starzyk pod ziemią trocha – odpowiada ze smutkiem Ecik.

– Ponoć stemple pierdoły.

– Bo kto sadi w biedaszybie stemple grubości cygareta?!

– Takie miół, nie?!

– Zasypią wszystkie wyrobiska, mówię wam, tylko czekać. Może już zasypali? Tak robią zawsze po każdym wypadku...

Wspomnienie starego Słoty sprawiło, że Modry smutnie jeszcze bardziej.

To właśnie Edwin Słota, emerytowany górnik, miłośnik gołębi, a także rzeźbiarz amator, opowiadał mu wiele razy, jeszcze smarkaczowi, o starej Zandce. Modry uwielbiał przesiadywać w jego niewielkiej izdebce, będącej jednocześnie pracownią. Podłoga była zawsze usiana ostrużynami, a na półkach stały rzeźby świątków, diabły, zwierzęta, także starzy, brodaci Żydzi.

Słota był chyba jedynym, który cieszył się, że Modry idzie do wojska.

– Jak masz dupluję, to masz i odpowiedzialność – tłumaczył mu ten syn powstańca śląskiego; a Modry do dziś pamiętał, nawet obudzony w środku nocy, numer seryjny swojego kałasznikowa.

Również dzięki Słocie Modry dowiedział się dużo więcej o starym żydowskim cmentarzu i czasach wojny.

– Miałem wtedy sześć, może siedem lat – opowiadał pewnego dnia Edwin. – Trwała już wojna. Jedni sąsiedzi poszli do Wehrmachtu, inni do polskiego wojska. W okolicy jednak nic się nie działo, żadnych, rozumiesz, strzałów, a wybuchy to też tylko tyle, co na kopalnia. Ale cały czas szły transporty do Oświęcimia, z Polski i z Europy.

– Tędy? – zdziwił się chłopak, a Słota skinął głową i ciągnął dalej:

– Jak czasem stałeś przy nasypie, widziałeś dokładnie białka oczu ludzi za małymi, okratowanymi okienkami. Nie było dnia, żeby nie szedł transport. Ludzie z wagonów czasami coś krzyczeli, wyciągali przez te okienka ręce, pewnie po jedzenie, ale kto by trafił. Tym bardziej, że w wagonach byli uzbrojeni wachmani, a na nasypie spotykało się bahnschutzów. Były jednak wypadki, że z wagonów coś wyrzucano...

– Co? – zapytał wtedy Modry.

– Dzieci, niemowlęta – odpowiedział drżącym głosem staruszek, uciekając wzrokiem gdzieś w bok. – Wyrzucone z transportu śmierci, jeśli przeżyły upadek i ktoś dobry znalazł je na nasypie, miały cień szansy. Cień szansy na to, by żyć...

Modry wzdycha głęboko. Jutro odwiedzi Słotę w szpitalu. To przecież niedaleko. Właściwie czemu do tej pory jeszcze tego mnie zrobił, skoro tyle razy był u ojca?

Nad idącymi wiatr kołysze mocno koronami drzew, z których sypią się liście. Trójka przecina na ukos kolejne skrzyżowanie. W piersiach Modrego serce żywiej uderza, bo za chwilę będą przechodzić obok domu, w którym mieszka Anka.